

FILM Z EMMA THOMPSON I STANLEYEM TUCCIM

A movie poster featuring Emma Thompson and Stanley Tucci. Emma Thompson is on the left, looking over her shoulder at the camera with a serious expression. Stanley Tucci is on the right, looking off to the side. Both are wearing dark blue blazers. The background is a textured, light-colored wall.

Ian
McEwan
W IMIĘ DZIECKA

ALBATROS

Rozdział pierwszy

Londyn. Trzecia, już przedostatnia w tym roku, sesja sądu zaczęła się tydzień temu. Nieznośna czerwcową pogodą. Fiona Maye, sędzia Wysokiego Trybunału Anglii i Walii, w niedzielne popołudnie leżała na szezlongu u siebie w domu. Na linii wzroku miała swoje stopy w pończochach, dalej, przy kominku, fragment wbudowanych w ścianę półek na książki, a obok, przy wysokim oknie, niewielką litografię Renoira z kąpiącą się. Kupiła ją trzydzieści lat temu za pięćdziesiąt funtów. Zapewne falsyfikat. Pod litografią, pośrodku okrągłego stolika z drewna orzechowego, stał błękitny wazon. Nie pamiętała, jak weszła w jego posiadanie. Ani też kiedy po raz ostatni wstawiła do niego kwiaty. W kominku nie rozpalano od roku. Poczerniałe krople deszczu kapały w nieregularnym rytmie na palenisko, cicho stukając w zderzeniu ze zmiętą pożółkłą gazetą. Na lakierowanej podłodze z szerokich desek leżał bucharski dywan. Na skraju pola widzenia

wyłaniał się lśniący czarny fortepian salonowy, na którym stały rodzinne zdjęcia w srebrnych ramkach. Przy szeszelon-gu, w zasięgu ręki, czekał projekt orzeczenia. W tej chwili Fiona najchętniej posłałaby to wszystko na dno morza.

W dłoni trzymała drugą szkocką z wodą. Była roz-trzęsiona, wciąż nie mogła się zebrać po zejściu z mężem. Rzadko piła alkohol, ale whisky Talisker z wodą z kranu działała jak balsam na jej duszę. Być może wstanie, podej-dzie do kredensu po przeciwnej stronie salonu i przygotuje sobie trzeciego drinka. Mniej szkockiej, więcej wody, bo następnego dnia ma być w sądzie, a nawet teraz, kiedy leżała, próbując dojść do siebie, pełniła dyżur pod tele-fonem. Jej mąż wygłosił szokujące oświadczenie i zrzucił na nią ciężar nie do przyjęcia. Fiona po raz pierwszy od lat podniosła głos i wciąż pobrzmiwało jej w uszach słabe echo wykrzyczanych słów.

– Ty idioto! Ty cholerny idioto!

Nie zaklęła na głos od czasów, gdy jako beztroska nastolatka jeździła do Newcastle, choć czasem mocne słowo wdzierało się w jej myśli, kiedy słyszała jakieś niczemu niesłużące argumenty lub nieistotne dla sprawy pytanie prawne.

A zaraz potem, aż dysząc z oburzenia, powiedziała głośno, co najmniej dwukrotnie:

– Jak śmiesz?!

Trudno było uznać to za pytanie, lecz on odparł spo-kojnie:

– Jest mi to potrzebne. Mam pięćdziesiąt dziewięć lat. To moja ostatnia szansa. Jak dotąd nie wiadomo mi o żadnych dowodach na życie po śmierci.

Pretensjonalne spostrzeżenie, na które nie znalazła odpowiedzi. Wpatrywała się w niego zdumiona i niewykluczone, że otworzyła nawet usta. Trafna riposta przyszła jej do głowy dopiero teraz, gdy leżała na szezlongu. „Pięćdziesiąt dziewięć? Jack, przecież ty masz sześćdziesiąt lat! Jakie to żałosne i banalne”.

Tymczasem w rzeczywistości odpowiedziała nieprzekonująco:

- To po prostu śmieszne.
- Fiono, kiedy ostatni raz się kochaliśmy?

Kiedy? Zadawał to pytanie już wcześniej, czasem tonem żałosnym, a czasem zrzędlwym. Ale w natłoku codziennych spraw trudno sobie przypomnieć nie tak odległą przeszłość. Wydział Rodzinny Wysokiego Trybunału obfitował w dziwne nieporozumienia, wyjątkowe petycje, półprawdy o życiu osobistym i niecodzienne oskarżenia. I podobnie jak w innych gałęziach prawa, sędzia musiał szybko poznać wszystkie aspekty i okoliczności konkretnej sprawy. W zeszłym tygodniu wysłuchała końcowych wystąpień rozwodzących się rodziców, żydów, którzy różnili się stopniem ortodoksyjności i toczyli spór o wykształcenie córek. Projekt uzasadnienia orzeczenia, który leżał teraz na podłodze, dotyczył tej właśnie sprawy. Jutro zaś po raz kolejny stanie przed Fioną zrozpaczona, bladziutka

matka pięcioletniej dziewczynki. Ta świetnie wykształcona Angielka podejrzewała, że ojciec dziecka, marokański biznesmen i ortodoksyjny muzułmanin, wbrew temu, co oświadczył w sądzie, wywiezie córkę do Rabatu, gdzie zamierzał się osiedlić i rozpocząć nowe życie. Przed sądem toczyły się spory o miejsce zamieszkania dzieci, o domy, polisy emerytalne, dochody, spadki. Do Wysokiego Trybunału trafiały sprawy o podział naprawdę dużych majątków. Bogactwo zwykle nie przynosi długotrwałego szczęścia. Rodzice szybko poznawali nowe słownictwo i żmudne procedury. I wkrótce, ku ich zdumieniu, okazywało się, że prowadzą zażartą walkę z osobą, którą niedawno kochali. A za kulisami czekały dzieci, których imiona były wymieniane w aktach sądowych. Te biedne maluchy, Benowie i Sary, tuliły się do siebie znękanе, a ponad ich głowami walka bogów toczyła się do samego końca. Od Sądu Rodzinnego przez Wysoki Trybunał po Sąd Apelacyjny.

W tym morzu nieszczęść powtarzały się te same tematy, ludzie okazywali się podobni, lecz mimo to Fiona nadal była zafascynowana swoją pracą. Wierzyła, że reprezentując głos rozsądku, może pohamować zapędy zwaśnionych stron i nawołać do opamiętania. Krótko mówiąc, wierzyła w przepisy prawa rodzinnego. Prymat potrzeb dziecka nad potrzebami rodziców, który zapisano w *Ustawie o dzieciach*, w chwilach optymizmu uznawała za istotny wskaźnik postępu cywilizacyjnego. Dni wypełniała jej praca. A wieczory? Ostatnio kilka oficjalnych kolacji,

spotkanie w korporacji adwokackiej Middle Temple na część sędziego, który przeszedł na emeryturę, koncert w Kings Place (Schubert, Skriabin), taksówki, metro, odbieranie ubrań z pralni chemicznej, list w sprawie szkoły specjalnej dla autystycznego syna sprzątaczkii i wreszcie czas na sen. Gdzie w tym wszystkim był seks? W tej chwili nie mogła sobie przypomnieć.

– Nie zapisuję sobie takich rzeczy – odpowiedziała mu wtedy.

A on rozłożył szeroko ręce na znak, że nie ma już nic do dodania.

Fiona bacznie obserwowała męża, kiedy przechodził przez pokój i nalewał sobie szkocką Talisker, którą sama teraz piła. Ostatnio sprawiał wrażenie wyższego i poruszał się swobodniej. Kiedy stał odwrócony do niej plecami, ogarnęło ją nieміłe przeczucie, że mąż ją porzuci i upokorzy. Odejdzie do młodszej kobiety, a ją zostawi, jak bezużyteczny przedmiot. Zastanawiała się, czy nie lepiej zgodzić się na wszystko, czego chciał, lecz natychmiast odsunęła od siebie ten pomysł.

Podszedł do niej ze szklanką w ręku. Nie proponował jej, jak zazwyczaj o tej porze, kieliszka wina Sancerre.

- Czego ty właściwie chcesz, Jack?
- Zamierzam przeżyć romans.
- Chcesz rozwodu.
- Nie. Chcę, żeby wszystko zostało bez zmian. Bez oszukiwania.

– Nie rozumiem.

– Oczywiście, że rozumiesz. Czy sama nie powiedziałaś mi kiedyś, że małżeństwa z długim stażem żyją bardziej jak rodzeństwo? Dotarliśmy do tego etapu, Fiono. Stałem się twoim bratem. To wygodny i przyjemny układ, a ja ciebie kocham, ale nim wyzionę ducha, chcę przeżyć wielki, namiętny romans.

Jej cichy okrzyk zdziwienia wziął chyba za śmiech, być może drwiący, bo powiedział szorstko:

– Pragnę takiej ekstazy, która prowadzi do utraty tchu. Pamiętasz, jak to było? Chcę znów to przeżyć, zapewne po raz ostatni w życiu, nawet jeśli ty nie chcesz. A może chcesz.

– A więc o to chodzi – odparła, wpatrując się w niego z niedowierzaniem.

To wówczas powiedziała mu, jakim jest idiotą. Ogólnie przyjęte normy i wartości stanowiły jej domenę. A propozycja Jacka była tym bardziej oburzająca, że nigdy dotąd jej nie zdradził. A jeśli nawet, to dyskretnie. Fiona знаła imię tej kobiety. Melanie. Dość podobne do nazwy złośliwego raka skóry, „melanoma”. Wiedziała, że jego romans z tą dwudziestoosmioletnią specjalistką od statystyki może ją unicestwić.

– Jeśli to zrobisz, z nami koniec. Całkiem proste.

– Czy to groźba?

– Moja solenna obietnica.

Odzyskała już panowanie nad sobą. I naprawdę zda-

wało się to proste. Małżeństwo otwarte można zaproponować przed ślubem, a nie trzydzieści pięć lat później. Ryzykować utratę wszystkiego, co mieli, tylko po to, żeby Jack mógł zaznać zmysłowych rozkoszy! A gdyby ona zapragnęła czegoś takiego? Kiedy wyobraziła sobie taki swój „ostatni w życiu wyskok” – który w jej przypadku byłby pierwszym – pomyślała wyłącznie o zamęcie, o potajemnych schadzkach, rozczarowaniu i telefonie, który dzwoni nie w porę. Trzeba poznawać nowego partnera w łóżku, wymyślać nowy zestaw czułych słówek, udawać i wreszcie wypłatać się z takiego związku, zdobywając się na szczerość i otwartość. A potem nic już nie byłoby takie same. Nie, Fiona wolała raczej niedoskonałe życie, które dotąd wiodła.

Dopiero teraz, kiedy leżąc na szezlongu, analizowała tę rozmowę, dotarło do niej, jak bardzo ją znieważył, i zrozumiała, że gotów jest zapłacić za swoją przyjemność jej cierpieniem. Bez cienia litości. Nieraz widziała, jak potrafił działać z determinacją, nawet kosztem innych, ale najczęściej w słusznej sprawie. Nie tak jak teraz. Co się zmieniło? Przypomniała sobie chwilę, gdy Jack stanął przy kredensie. Stał wtedy wyprostowany, na rozstawionych nogach, i jedną ręką nalewał sobie whisky, a palcami drugiej przebierał w rytm jakiejś melodii, którą pewnie często puszczał, tyle że nie Fionie. Ją krzywdził i wcale się tym nie przejmował – na tym polegała zmiana. Dotąd zawsze był lojalnym i dobrym mężem, a dobroć jest

zasadniczym elementem naszego człowieczeństwa, jak ciągle dowodziły sprawy z Wydziału Rodzinnego. Niedobrym rodzicom Fiona miała prawo odebrać dziecko, i czasem to robiła. Ale sama, opuszczona i słaba, nie mogła obronić się przed niedobrym mężem. Kto go osądzi? Kto ją otoczy opieką?

Czuła się zażenowana, gdy ludzie użalali się nad sobą, nie zamierzała więc sama tego robić. W zamian przygotowała sobie trzeciego drinka. Nalała jednak tylko symboliczną porcję whisky i dużo wody, po czym wróciła na leżankę. Tak, z tej rozmowy powinna sporządzić notatki. Trzeba to zapamiętać, starannie oszacować zniewagę. Kiedy zagroziła, że jeśli Jack tak postąpi, będzie to koniec ich małżeństwa, powtórzył tylko, że bardzo ją kocha. Powiedział, że zawsze będzie ją kochał, ale ma tylko jedno życie i jest ogromnie nieszczęśliwy, bo nie zaspokaja swoich potrzeb seksualnych. Dlatego teraz, za wiedzą Fiony i, jak miał nadzieję, za jej zgodą, chciałby wykorzystać tę ostatnią szansę. Rozmawiał z nią w duchu otwartości. Mógłby to przecież zrobić „za jej plecami”. Za jej kruchymi, nieprzebaczającymi plecami.

– Och – mruknęła. – Jakie to szlachetne z twojej strony, Jack.

– Cóż, w istocie... – zaczął, lecz nie dokończył.

Domyślała się, co chciał powiedzieć: że romans już się zaczął – a tych słów by nie zniosła. Zresztą nie musiał mówić. I tak o tym wiedziała. Śliczna specjalistka od

statystyki już pracowała nad zmniejszeniem prawdopodobieństwa jego powrotu do zgorzkniałej żony. Oczami wyobraźni Fiona ujrzała słoneczny poranek, nieznaną łazienkę, a w niej swojego męża. Jack, który nadal był dobrze umięśniony, miał na sobie na wpół rozpiętą śnieżnobiałą lnianą koszulę. Z charakterystycznym zniecierpliwieniem ściąga ją przez głowę i rzuca do kosza z brudną bielizną. Zmięta koszula zaczepia rękawem o brzeg kosza, po czym spada na podłogę. Zatrącenie. To się wydarzy, za jej przyzwoleniem lub bez niego.

– Odpowiedź brzmi „nie”. – Powiedziała to podniesionym tonem, niczym surowa belferka. I dodała: – Czego się spodziewałeś?

Poczuła się bezradna i chciała już zakończyć tę rozmowę. Następnego dnia rano miała oddać uzasadnienie orzeczenia przed jego publikacją w „Family Law Reports”. Los dwóch żydowskich uczennic został już rozstrzygnięty, decyzja ogłoszona, ale tekst uzasadnienia trzeba było wygładzić, zadbać o odpowiedni dobór słów, okazując szacunek należny pobożności, na wypadek ewentualnej apelacji. Deszcz bębnił w szyby, z oddali dobiegł pisk opon hamujących na mokrym asfalcie. Jack ją zostawi, a życie będzie toczyć się dalej.

Kiedy wzruszył ramionami i odwrócił się, żeby wyjść z pokoju, miał spiętą twarz. Na widok jego oddalających się pleców znów przeszył ją lęk. Zawołałaby za nim, ale bała się, że ją zignoruje. I co by powiedziała? Przytul

mnie, pocałuj, weź sobie tamtą dziewczynę. Usłyszała jego kroki w przedpokoju, trzaśnięcie drzwi do sypialni, które zamknął, a potem ciszę spowijającą mieszkanie. Ciszę i deszcz, który padał nieprzerwanie od miesiąca.

* * *

Najpierw fakty. Obie strony pochodziły z pobożnej ultraortodoksyjnej zamkniętej wspólnoty haredim z północnego Londynu. Małżeństwo państwa Bernsteinów zostało zaaranżowane przez rodziców. Zaaranżowane, a nie przeforsowane siłą, jak wyjątkowo zgodnie podkreślały obie strony. Trzydzieści lat później wszyscy, czyli mediator, pracownik socjalny oraz sędzia, uważali, że małżeństwa nie da się naprawić. Para żyła w separacji. Rodzice z trudem dzielili opiekę nad dwiema córkami, Rachel i Norą, które mieszkaly z matką i utrzymywały częste kontakty z ojcem. Rozpad małżeństwa zaczął się we wczesnych latach pożycia. Po trudnym drugim porodzie matka nie mogła ponownie zająć w ciążę z powodu radykalnego zabiegu chirurgicznego. Ojciec gorąco pragnął dużej rodziny, co doprowadziło do bolesnego konfliktu. Matka po okresie depresji (jej zdaniem krótkiej, a według ojca długiej) zaczęła studiować na uniwersytecie otwartym, zdobyła uprawnienia nauczycielskie i kiedy młodsza córka poszła do szkoły, podjęła pracę. Taki obrót sytuacji nie odpowiadał ojcu ani licznym krewnym. Wśród społeczności haredim, której tradycje trwają niezmienione

od wieków, kobiety mają zajmować się dziećmi, im więcej dzieci tym lepiej, oraz domem. Kobiety z wyższym wykształceniem, aktywne zawodowo, stanowią rzadkość. Ojciec wezwał na świadka starszego mężczyznę, szanowanego we wspólnocie, który to potwierdził.

Mężczyźni również nie uczęszczali zbyt długo do szkół. Już jako dzieci większość czasu musieli poświęcać studiowaniu Tory. Z reguły nie wstępowali na uniwersytet. Częściowo z tego powodu wielu członków haredim żyło skromnie. Co nie dotyczyło akurat Bernsteinów, którym jeden z dziadków, posiadający udział w patencie na maszynę do drylowania oliwek, zapisał pewną kwotę. Jednak po opłaceniu rachunków związanych z prowadzoną w sądzie sprawą ich sytuacja materialna ulegnie radykalnej zmianie. Wszystkie pieniądze pójdą na adwokatki, które zresztą Fiona dobrze знаła. Zdawać by się mogło, że sprawa dotyczy edukacji Rachel i Nory. Lecz stawką był cały kontekst wychowania dziewczynek. Była to walka o ich dusze.

Chłopców i dziewczynki ze społeczności haredim nauczano oddzielnie, aby zachowali czystość. Modne ubrania, telewizja i internet były zabronione, podobnie jak przebywanie wśród dzieci mogących korzystać z takich rozrywek. Wstęp do domów, w których nie przestrzegano surowych zasad koszerności, był zakazany. Ustalone zwyczaje obejmowały wszystkie aspekty codziennego życia. Problem zaczął się od matki, która zerwała ze wspólnotą,

choć nie z judaizmem. Wbrew sprzeciwom ojca posłała dziewczynki do koedukacyjnej żydowskiej szkoły podstawowej, gdzie telewizja, muzyka pop, internet i relacje z nieżydowskimi dziećmi były dozwolone. Chciała, aby dziewczynki kontynuowały naukę po ukończeniu szesnastego roku życia i poszły na uniwersytet, jeśli taka będzie ich wola. W pisemnym zeznaniu oświadczyła, że chce, by dziewczynki zdobyły większą wiedzę o tym, jak żyją inni, i były tolerancyjne, a także zyskały możliwości pracy zawodowej, jakich ona nie miała. Pragnęła, by jako osoby dorosłe były ekonomicznie niezależne i mogły wybrać sobie na męża człowieka posiadającego takie kwalifikacje zawodowe, żeby pomagał utrzymać rodzinę. W przeciwieństwie do jej męża, który cały czas poświęcał na studiowanie Tory i nauczał jej przez osiem godzin w tygodniu, bez wynagrodzenia.

Choć ta argumentacja była racjonalna, Judith Bernstein – koścista blada twarz, odkryte kręcone rude włosy spięte wielką niebieską klamrą – w sądzie zachowywała się irytująco. W niespokojnych piegowatych dłoniach międlila liściki, które stale podawała swojej adwokatce, a kiedy głos zabierała adwokatka jej męża, pani Bernstein wymownie wzdychała, przewracała oczami i wydymała usta. Ciągłe też, bardzo niestosownie, grzebała w swojej przepastnej skórzanej torbie, przetrząsając jej zawartość. W którymś momencie wyjęła nawet paczkę papierosów i zapalniczkę – przedmioty z pewnością prowokacyjne dla

jej męża – i położyła na wierzchu, żeby mieć je pod ręką, gdy długa popołudniowa rozprawa wreszcie się skończy. Siedząc wyżej, Fiona dostrzegła to wszystko, ale udawała, że nic nie widzi.

Pisemne zeznania pana Bernsteina miały na celu przekonanie sądu, że jego żona jest samolubną kobietą, która „ma problemy z kontrolowaniem gniewu” (w Wydziale Rodzinnym powszechne, często obopólne oskarżenie). Pan Bernstein utrzymywał, że żona odwróciła się plecami do przysięgi małżeńskiej, skłóciła się z jego rodzicami oraz wspólnotą i odcięła córki od dziadków. Przeciwnie, oznajmiła Judith z miejsca dla świadka, to teściowie nie chcieli spotykać się z nią ani z dziećmi, dopóki wraz z córkami nie wróci na właściwą drogę życia, a to oznaczało odrzucenie współczesnego świata, w tym mediów społecznościach, i prowadzenie kosztownego domu na ich warunkach.

Pan Julian Bernstein, wysoki jak trzcina, niczym łodyga sitowia, w którym ukryty został mały Mojżesz, schylił kornie głowę nad papierami sądowymi. Pejsy kołysały mu się melancholijnie, gdy reprezentująca go adwokatka oskarżyła jego żonę o nieumiejętność oddzielenia własnych potrzeb od potrzeb dzieci. To, czego zdaniem pani Bernstein córki potrzebowały, było w istocie tym, czego chciała dla siebie. Wyrывała dziewczynki z ciepłego i bezpiecznego środowiska rodziny, surowej, ale kochającej. Zasady i praktyki religijne tej społeczności odnoszą się

do wszelkich trudnych sytuacji, tożsamość jest określona, a metody sprawdzone przez pokolenia. Członkowie tej wspólnoty są szczęśliwsi i bardziej spełnieni od przedstawicieli świeckiego społeczeństwa konsumpcyjnego, którzy żyją w świecie, gdzie wyśmiewa się życie duchowe, a kultura masowa uwłacza dziewczynkom i kobietom. Matka dzieci przejawia frywolne pragnienia i stosuje lekceważące tradycję, a nawet destrukcyjne metody. Pani Bernstein bardziej niż dzieci kocha samą siebie.

Na co Judith odparła szorstko, że nic nie uwłacza człowiekowi, chłopcu czy dziewczynce, bardziej niż odebranie mu możliwości edukacji i godnej pracy. Że przez całe dzieciństwo i okres dojrzewania słyszała, że jedynym celem jej życia jest prowadzenie miłego domu dla męża oraz dbanie o jego dzieci – i to również umniejszało jej prawo do wyboru własnego celu. Gdy z wielkim trudem podjęła studia na uniwersytecie otwartym, została wyśmiana, potępiona i wyklęta. Obiecała sobie, że jej córki nie doświadczą takich ograniczeń.

Adwokatki obu stron przyjęły podobną taktykę, zgodnie uznając (gdyż taką opinię reprezentowała sędzia), że sprawa dotyczy nie tylko kwestii edukacji. Sąd w imieniu dzieci miał dokonać wyboru pomiędzy religią totalną a religią o mniejszym oddziaływaniu na życie. Pomiędzy kulturami, tożsamościami, stanami umysłu, aspiracjami, kręgami więzi rodzinnych, podstawowymi definicjami,

elementarną lojalnością wobec jednego lub drugiego rodzaju, nieznanymi wariantami przeszłości.

W takich sprawach często decydowało naturalne dążenie do zachowania status quo, dopóki obecny stan rzeczy wydawał się korzystny. Uzasadnienie orzeczenia Fiony liczyło dwadzieścia jeden stron. Kartki leżały na podłodze niczym wachlarz, zapisanymi stronami do dołu, czekając, aż je podniesie, jedną po drugiej, a następnie poprawi tekst miękkim ołówkiem.

Z sypialni nie dobiegał żaden dźwięk, nic prócz szmeru samochodów sunących w deszczu po ulicy. Miała sobie za złe, że z napiętą uwagą, wstrzymując oddech, nasłuchuje skrzypienia drzwi lub podłogi. Pragnąc i lękając się tego zarazem.

W środowisku sędziowskim Fionie Maye nie skąpono pochwał. Nawet pod jej nieobecność koledzy wyrażali uznanie dla jej rzeczowego, prawie ironicznego i niemal ciepłego stylu oraz zwięzłych określeń, za pomocą których potrafiła przedstawić istotę sporu. Podobno sam Lord Sędzia Najwyższy Anglii i Walii podczas lunchu szepnął o niej komuś na stronie: „Boski dystans, diabelska przenikliwość, a przy tym jaka uroda”. Ona zaś uważała, że z każdym rokiem wykazuje coraz większe zamiłowanie do precyzji, którą można by określić mianem pedantycznej. Starła się formułować niepodważalne definicje, które inni sędziowie i adwokaci mogliby często przytaczać, tak jak często cytowano Hoffmana ze sprawy Piglowskiej

przeciwko Pigłowskiemu, a także Binghamu, Warda czy niezastąpionego Scarmana, do których Fiona również się odwoływała. Tak jak w tym orzeczeniu, którego wiotką pierwszą kartkę trzymała w palcach. Czy jej życie się zmieni? Czy już wkrótce w Gray's Inn albo nawet w pozostałych trzech korporacjach, Lincoln's Inn, Inner i Middle Temple, znajomi adwokaci i sędziowie zaczną szeptać z trwogą: „I naprawdę go wyrzuciła?”. Ona zaś będzie siedzieć sama w tym cudownym mieszkaniu w Gray's Inn, z którego w końcu wygonią ją wysokie opłaty lub starość.

Czas wrócić do orzeczenia. Część pierwsza: „Stan faktyczny”. Po rutynowym opisie warunków mieszkaniowych i kontaktów córek z ojcem następował akapit poświęcony wspólnocie haredim. Fiona napisała, że zasady religijne regulują wszystkie sfery życia. Różnica pomiędzy tym, co należne cesarzowi, a tym, co należne Bogu, była bez znaczenia, podobnie jak w przypadku muzułmanów. Ołówek w jej palcach znieruchomiał. Porównanie żydów do muzułmanów. Czy może to zostać odebrane jako nie stosowne lub prowokacyjne, w każdym razie przez ojca? Owszem, gdyby był nierozsądny, ale Fiona uznała, że nie jest. Czyli zostawić bez zmian.

Druga część nosiła tytuł „Różnice moralne”. Sąd miał zdecydować o dalszym kształceniu obu dziewczynek, dokonać wyboru pomiędzy dwoma systemami wartości. A w takich sprawach pewną pomoc stanowiło odwołanie

się do ogólnie przyjętych w społeczeństwie norm i zwyczajów. W tym miejscu przytoczyła słowa lorda Hoffmana: „Są to opinie wartościujące, w których ludzie rozsądni mogą się różnić. Ponieważ sędziowie są również ludźmi, oznacza to, że pewien stopień zróżnicowania w ich ocenie wartości jest nieunikniony...”.

Na następnej stronie Fiona poświęciła kilkaset słów na zdefiniowanie pojęcia „dobro dziecka”, a następnie omówienie standardów, które to dobro wyznaczają. Za przykładem lorda Hailshama uznała, że jest to pojęcie tożsame z dobrostanem i obejmuje wszystko, co ma związek z rozwojem dziecka jako osoby. Powołała się na Toma Bingham, uznając, że należy przyjąć perspektywę średnio- i długoterminową, ponieważ dzisiejsze dzieci mogą dożyć dwudziestego drugiego wieku. Zacytowała fragment orzeczenia lorda sędziego Lindleya z 1893 roku, mówiący o tym, że dobra dziecka nie można mierzyć tylko warunkami finansowymi czy też jedynie wygodą życia lub dobrym samopoczuciem fizycznym. Fiona przyjmie jak najszerszą perspektywę. Dobro, szczęście, dobrostan winny odnosić się do filozoficznego pojęcia udanego życia. Wymieniła kilka istotnych elementów, celów, które mogą stanowić zwieńczenie procesu dojrzewania. Wolność ekonomiczna i moralna, cnota, współczucie i altruizm, praca dająca zadowolenie dzięki realizacji trudnych zadań, rozwijanie relacji osobistych, zdobywanie szacunku innych ludzi, dążenie do nadania swemu życiu większego sensu

oraz posiadanie jednego lub kilku istotnych związków opartych przede wszystkim na miłości.

Tak, jeśli chodzi o ten ostatni, zasadniczy element, sama poniosła porażkę. Szklanka szkockiej z wodą stała obok nietknięta. Żółta jak uryna barwa i natrętny korkowy zapach teraz napawały ją obrzydzeniem. Powinna być bardziej wściekła, powinna porozmawiać z przyjaciółką – miała ich kilka – powinna wkroczyć do sypialni, domagając się dalszych wyjaśnień. Ale czuła, że kurczy się w sobie, jakby zamieniała się w punkt geometryczny, pełny niespokojnej determinacji. Jutro mija termin oddania tekstu do druku. Trzeba zabrać się do pracy. Jej życie osobiste nie ma tu nic do rzeczy. A przynajmniej nie powinno mieć. Uwaga Fiony nadal była podzielona między trzymaną kartkę a zamknięte drzwi sypialni, które znajdowały się w odległości piętnastu metrów. Zmusiła się do przeczytania długiego akapitu, który budził jej wątpliwości, gdy wygłaszała go w sądzie. Uznała jednak, że nie ma nic złego w dobitnym stwierdzaniu oczywistości. Dobrostan zależy od relacji społecznych. Złożona sieć powiązań dziecka z rodziną i przyjaciółmi to kluczowy element. Dziecko nie jest wyspą. Człowiek to istota społeczna, według słynnej koncepcji Arystotelesa. W czterystu słowach poświęconych tej kwestii wypłynęła na pełne morze, nabierając, dzięki erudycyjnym odniesieniom (Adam Smith, John Stuart Mill), wiatru w żagle. Dobrze uzasadnienie orzeczenia zawsze powinno być osadzone w takich świątłych ramach.

Idąc dalej, dobrostan jest pojęciem zmiennym, należy go oceniać według standardów dzisiejszych rozsądnych kobiet i mężczyzn. To, co zadowalało poprzednie pokolenie, może już nie wystarczać. I znów, podejmowanie decyzji w sprawie wierzeń religijnych czy różnic teologicznych nie leży w gestii świeckiego sądu. Wszystkie religie zasługują na szacunek, jeśli są, jak to ujął lord sędzia Purchas, „prawnie i społecznie dopuszczalne”, a nie, według bardziej mrocznego określenia lorda sędziego Scarmana, „niemoralne lub w odczuciu społecznym odrażające”.

Sądy nie powinny spieszyć z interwencją w obronie interesów dziecka wbrew zasadom religijnym rodziców. Czasem jednak muszą. Lecz kiedy? W odpowiedzi przywołała słowa jednego ze swych faworytów, mądrego lorda sędziego Munby’ego z Sądu Apelacyjnego: „Rozmaitość ludzkich uwarunkowań wyklucza arbitralną definicję”. Godny podziwu szekspirowski akcent. „Zwyczaj żądz nie spłoszy: jej rozmaitość wzmacnia wdzięk rozkoszy”*. Te słowa wytrąciły ją z toku myślenia. Kwestię Enobarbusa знаła na pamięć, bo zagrała go kiedyś na studiach, w spektaklu, w którym występowały same kobiety, wystawionym w pewne słoneczne letnie popołudnie na trawniku w Lincoln’s Inn Fields. Ledwie spadł jej z pleców ciężar egzaminów adwokackich. Mniej więcej w tym czasie zako-

* William Szekspir, *Antoniusz i Kleopatra*, przeł. Krystyn Ostrowski, Librairie Internationale, Paryż 1872.

chał się w niej Jack, a wkrótce potem ona zakochała się w nim. Po raz pierwszy kochali się w wynajętym pokoju na strychu, gdzie prażyło popołudniowe słońce. Przez okragłe okienko, którego nie dawało się otworzyć, widać było kawałek Tamizy.

Pomyślała o przyszłej, a może już obecnej kochance Jacka, tej specjalistce od statystyki, Melanie. Raz ją spotkała. Cicha młoda kobieta z ciężkimi bursztynowymi koralami i w szpilkach, które mogły zrujnować starą dębową podłogę. „Kobiety zwykle tępią smak przesytem/Ta coraz nowym rzeźwi go zachwytem”. Mogło być właśnie tak: toksyczna obsesja, uzależnienie, które odsuwało go od domu, zatruwało, pochłaniając całą ich przeszłość, przyszłość, a także teraźniejszość. Chyba że Melanie należała, podobnie jak najwidoczniej sama Fiona, do tych kobiet, które „tępią smak przesytem”, i Jack wróci przed upływem dwóch tygodni, zaspokoiwszy apetyt, i zacznie snuć plany rodzinnych wakacji.

Tak czy inaczej było to nie do zniesienia.

Nie do zniesienia, a zarazem fascynujące. I w tej chwili nieistotne. Zmusiła się, by wrócić do swoich kartek, do podsumowania zeznań obu stron. Było zwięzłe i dość życzliwe. Kolejny akapit ze streszczeniem raportu, który opracował powołany przez sąd pracownik socjalny. Przedstawicielka Cafcass, instytucji wspomagającej sąd rodzinny, była pulchną życzliwą młodą kobietą, która często pojawiała się na sali sądowej zdyszana, z rozwichrzonymi

włosami, w koszuli, którą nosiła na wierzch, rozpiętej pod szyję. Była chaotyczna, dwa razy spóźniła się na rozprawę z powodu jakichś zawitych kłopotów z kluczami od samochodu, dokumentów zatrzęsniętych w aucie i dziecka, które musiała odebrać ze szkoły. Lecz jej raport, zamiast typowych frazesów, które miałyby zadowolić obie strony, zawierał sensowne, a nawet wnikliwe spostrzeżenia, i Fiona przytoczyła jej słowa, w pełni się z nimi zgadzając. Co dalej?

Podniosła głowę i zobaczyła męża. Stał po przeciwnej stronie pokoju i nalewał sobie drinka, dużego, z whisky na trzy, a może na cztery palce. Latem często chodził po domu boso, jak przystało na ekscentrycznego profesora. Teraz również nie miał butów. Dlatego wszedł tak cicho. Pewnie leżał wcześniej na łóżku i wpatrując się w misterną sztukaterię na suficie, przez pół godziny zastanawiał się nad brakiem rozsądku Fiony. Zgarbione, napięte plecy, sposób, w jaki wcisnęła korek – uderzając w niego czubkiem kciuka – sugerowały, że wszedł tutaj bezszelestnie, szukając kłótni. Znała te sygnały.

Odwrócił się i podszedł do niej ze swoją nierozcieńczoną whisky. Żydowskie dziewczynki, Rachel i Nora, muszą unieść się w powietrze i poczekać za plecami Fiony, niczym chrześcijańskie aniołki. Ich świecki bóg ma własne kłopoty. Z szeszlongu miała całkiem dobry widok na jego paznokcie u nóg – przycięte równo, na kwadratowo, o jasnych, młodzieńczych półksiężycach, bez żółtych smug, które

pokrywały jej paznokcie. Zachował dobrą formę dzięki grze w tenisa w klubie uniwersyteckim oraz ciężarkom w gabinecie, które każdego dnia starał się podnieść w sumie sto razy. Fiona robiła niewiele dla zachowania kondycji: poza tym, że dźwigała teczkę z dokumentami przez długie sądowe korytarze i raczej korzystała ze schodów niż z windy. Jack był przystojny, choć w niesforny sposób. Miał krzywą kwadratową szczęką i wyszczerzoną w uśmiechu twarz, jakby mówił: „Jestem gotów na wszystko”, co urzekało studentów, którzy po profesorze historii starożytnej nie spodziewali się takiego, świadczącego o hedonizmie wyglądu. Nigdy wcześniej nie przyszło jej do głowy, że Jack mógłby interesować się studentkami. Teraz wszystko przedstawiało się inaczej. Być może Fiona, która przez całe życie zawodowe analizowała ludzkie słabości, pozostała niewinna, bezmyślnie wyłączając siebie i męża z powszechnego wzorca zachowań. Kiedy Jack wydał swoją jedyną popularyzatorską książkę, biografię Juliusza Cezara, zyskał na krótko cichą sławę i uznanie. To mogło sprowokować jakąś zuchwałą kokietkę z drugiego roku studiów. W jego gabinecie stała kanapa. Miał tam również tabliczkę z napisem „Ne pas déranger”, którą zabrał z Hôtel de Crillon, gdzie zatrzymali się dawno temu, pod koniec miesiąca miodowego. Były to całkiem nowe myśli. Oto jak robak podejrzliwości toczył przeszłość.

Jack usiadł na najbliższym krześle.